

# Marian Cieślak

---

## Równouprawnienie zasług i "zasług"? : szkic recenzyjny

---

Palestra 19/9(213), 101-105

---

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Równouprawnienie zasług i „zasług”?

(szkic recenzyjny)<sup>1</sup>

Stanisław Szenic, wytrawny szperacz po zaułkach naszej historii i jej świetny popularyzator, znany jest czytelnikom naszego pisma zapewne głównie jako autor „Pitavali”: warszawskiego, wielkopolskiego i... makabryczo-pijackiego. I to jest pierwszy powód, dla którego jego nowa książka zasługuje na zasygnalizowanie w czasopiśmie przeznaczonym dla prawników, mimo że poza samym sprawozdawczo-anegdotycznym ujęciem materii niewiele łączy „Za zachodnią miedzą” z pitavalem. Powód drugi, to fakt, że w książce sporo znajdujemy faktów i szczegółów z dziedzin graniczących z prawem. Przede wszystkim — sporo materiału z zakresu dziejów naszego narodu, naszej kultury i obyczajowości, a więc spraw, które nie mogą być obojętne prawnikowi. Jest jeszcze powód inny, ale o nim na samym końcu.

Zbiór esejów pt. „Za zachodnią miedzą”, który wedle słów autora stanowi „owoc wieloletnich poszukiwań”, ma za zadanie ukazać wkład Polaków (a ściślej — jak wynika z treści książki — polskiego żywiołu etnicznego) w rozwój cywilizacyjny Niemiec w przeciągu XVIII i XIX wieku. Trzeba przyznać, że temat to wielce interesujący. I nader aktualny w dobie obecnej, kiedy po wiekach nie najlepszego sąsiedztwa, bolesnych doświadczeń i ran głębokich spełniły się wreszcie warunki, w których można i trzeba popatrzeć na siebie nawzajem, przez miedzę, trochę inaczej. Pamiętając nie tylko straty i krzywdy, ale i to, co sobie wzajem zawdzięczamy. Cośmy dostali dobrego od naszego sąsiada i cośmy mu sami dali. Dali nie tylko *volentes*, lecz także czasem *noletes*.

Książka S. Szenica jest bowiem w znacznej części ilustracją procesu germanizacji. Tej wymuszonej i tej dobrowolnej. Gdy o tę ostatnią chodzi, to materiał recenzowanej książki potwierdza nienową prawdę, że na wierność polskiemu narodowi i polskiej tradycji liczyć można najbardziej u prostego chłopca. Wielka arystokracja rodowa, która przypisywała sobie szczególną misję w dziejach naszego narodu, wynaradawiała się szczególnie łatwo. Podobnie i dziś niekiedy znacznie łatwiej jest bawić się „w ministrów” i „premierów” niż nauczyć własne dzieci polskiego języka.

Ślusznie dziwi się autor, że „polscy uczeni i pisarze (...) mało i raczej przypadkowo interesowali się rodakami, którzy za zachodnią miedzą trudem swoim i pracą przyczyniali się do rozkwitu kultury, gospodarki, a nawet polityki Prus i Niemiec” (s. 6). Stąd też jego książka, która „ma jedynie zwrócić uwagę, jak wielu w tym okresie było Polaków lub osób polskiego pochodzenia, które w powstającym państwie pruskim i w Niemczech odegrały jakąś rolę” (s. 6), wypełnia poważną lukę w naszym piśmiennictwie i ma do spełnienia nader ważną rolę przez przypomnienie szerszemu ogółowi spraw mało znanych, a na pewno godnych pamięci. Dodajmy też od razu, że jest to lektura arcyciekawa — właśnie głównie dzięki swemu autentyzmowi i konkretyzmowi. Autor „żywi niepłoną nadzieję, że znajdzie kontynuatorów swego dzieła”, którzy „potwierdzą, jak wielki wkład wnieśli Polacy do kultury, gospodarki i polityki naszych sąsiadów, gdy znaleźli się za zachodnią miedzą (...)”. Nadziei tej życzyć trzeba najlepszego spełnienia.

<sup>1</sup> Stanisław Szenic: Za zachodnią miedzą — Polacy w życiu Niemiec XVIII i XIX wieku, PIW, Warszawa 1973, s. 375.

Wszelako z zastrzeżeniem, które jest zastrzeżeniem pod adresem samej recenzowanej książki, a zarazem tym „innym powodem”, o którym wspomniano na wstępie.

Nie dziwny się temu, że książka obejmuje szkice i próby różnego rodzaju i charakteru, a też temu, że nie zawsze utrzymuje się na poziomie poważnej relacji historycznej, przechodząc niekiedy na ton bardziej poufaly, by nie powiedzieć plotkowaty. Takie jest dobre prawo anegdoty. Gorzej jednak, że ta różnorodność daje często powód do dwuznacznych ocen, a patriotyczna tonacja, w której ustawia swe wywody autor, pobrzmiwia raz po raz fałszywą nutą, przechodząc czasem w zgrzyty wręcz trywialne.

Większość materii stanowią podane w porządku chronologicznym eseje o charakterze biograficznym, choć nie zawsze biogramy; są to czasem tylko epizody lub wycinki życiorysów. Są jednak również krótkie szkice dotyczące ważnych zjawisk i spraw społecznych związanych z polsko-niemieckim sąsiedztwem. Te są szczególnie cenne. „Kolonizacja” — to niewesoła i mało znana historia uprowadzania chłopów polskich w celu zasiedlania terenów potężniejącego państwa pruskiego w czasach pierwszych Fryderyków. Obraz tych „jasyrskich” praktyk uzupełnia esej „Służba wojskowa” relacją o werbunku wojskowym uprawianym systematycznie przez Fryderyka II na ziemiach polskich. W tym samym rozdziale jednak sporo miejsca zajmują wzmianki o „zasługach” niektórych polskich kondotierów na żołdzie tego wybitnego zaborcy. Godny uwagi jest rozdział „Polacy w Westfalii i Nadrenii”, podkreślający rolę polskiej emigracji zarobkowej do zachodnich Niemiec w gospodarczym rozwoju tego kraju.

Doniosły udział Polaków w życiu kulturalnym Niemiec obrazują zwłaszcza opracowania: „Berlin miastem Polaków” (o polskiej kolonii w Berlinie w XIX w. i jej życiu społeczno-organizacyjnym), „Polska nuta nad Sprewą”, „Polacy w Monachium”, „Polacy w nauce niemieckiej”. Ten ostatni rozdział zasługuje na uwagę szczególną. Jest w nim mowa o wybitnych uczonych Polakach, profesorach Uniwersytetu Wrocławskiego, sławistach i historykach literatury: Wojciechu Cybulskim i Władysławie Nehringu, tudzież o znakomitym chirurgu Janie Antonim Mikuliczu-Radeckim. Wydaje się, że rola Polaków na niemieckim Uniwersytecie Wrocławskim byłaby bardzo wdzięcznym tematem gruntownego historycznego przebadania. Niemieckiej nauce przysłużył się też niemało bohater osobnego obszernego eseju Józef Aleksander Jabłonowski, wielki XVIII-wieczny potentat i dziwak niemały, zasłużony przy tym Polak i sympatyczny człowiek, założyciel naukowego towarzystwa „Societas Jablonoviana” w Lipsku, które dopiero na skutek inflacji po I wojnie światowej skończyło praktycznie swą działalność (jedną z ostatnich nagród otrzymał w 1922 r. Aleksander Brückner). Relację o Wojciechu Kętrzyńskim znajdujemy w szkicu „Przypadki repolonizacji”. Tamże wzruszająca historia niejakiego Alfreda L.O.S. von Olszewskiego, potomka dawno zniemczonej polskiej rodziny, który w swym testamencie (1909) zobowiązał swe dzieci — pod groźbą wydziedziczenia na rzecz H. Sienkiewicza — między innymi do szanowania polskiej tradycji, złożenia egzaminów z języka polskiego, historii i literatury polskiej, tudzież do... niewstępowania do państwowej służby pruskiej.

Ciekawie opowiedziano o berlińskim okresie twórczości dwóch wybitnych malarzy polskich: Juliana Fałata i Wojciecha Kossaka oraz o ich relacjach z kaiserem Wilhelmem. Działalności Przybyszewskiego w Niemczech ze wszech miar słusznie poświęcił autor osobny szkic<sup>2</sup>, a nadto obszerny wstęp (dotyczący okresu monachijskiego) w opracowaniu „Polacy w Monachium”.

<sup>2</sup> Razi jednak nieco przypomnienie, że Przybyszewski „środkami do życia zdobywał w tym okresie (...) głównie pisanem prac doktorskich dla leniwych lub mało zdolnych, lecz za to

Na stosunkowo dokładne omówienie zasłużył na pewno gdańszczanin Daniel Chodowiecki, znany XVIII-wieczny malarz i rytownik, uważający się nie bez powodu za Polaka, mimo że całą niemal swą artystyczną twórczością związany był z Berlinem. Ciekawą i sympatyczną postacią jest Aleksander A.T. Oppeln-Bronikowski, jeden z płodniejszych pisarzy pierwszej połowy XIX w., który „w młodości uważał się za Niemca, w wieku dojrzałym poczuł się Polakiem, pisał wyłącznie po niemiecku, ale tematy do swoich romansów czerpał często z historii Polski” (s. 114). Osobne szkice należały się też Bogdanowi Teodorowi Lubienieckiemu, sławnemu w Berlinie i Dreźnie malarzowi polskiemu z początku XVIII w., a także Afanazemu Raczyńskiemu, choć to już sprawa, która dotyka wspomnianej na wstępie dobrowolnej germanizacji. Nie można tego w żadnym razie powieścić o Władysławie Berkhanie, sławnym berlińskim krawcu z końca XIX w. a zarazem gorącym polskim patriotą.

Niezwykle obrotny businessman na służbie u Fryderyka II Jan Ernest Gockowski, który zasłużył sobie na przymiotniki „największego patrioty Berlina”, „twórcy pruskiego przemysłu jedwabniczego” i „najwybitniejszej postaci w berlińskim świecie kupieckim XVIII w.”, znalazł się w omawianej książce, poświęconej wkładowi Polaków w rozwój Niemiec, tylko ze względu na swe polskie pochodzenie. Na tej też zasadzie można usprawiedliwić zamieszczenie anegdotycznych relacji o polskim pochodzeniu Leibniza i Nietzschego, w obu wypadkach zresztą uwierzytelnionych wyznaniem tych wybitnych postaci. Podobny charakter mają wzmianki o polskim pochodzeniu E.T.A. Hoffmanna i — o co chyba nie warto by się szczególnie upominać — pruskiego feldmarszałka J. Yorcka von Wartenburga.

Dość kontrowersyjną postacią jest Bogdan Hutten-Czapski, wierny polityk i dyplomata w służbie króla Wilhelma, ale także twórca Fundacji Smoguleckiej, doktor h.c. Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej.

Mamy z kolei całą galerię pół- i całkiem renegatów, serwilistów w służbie pruskiej, ludzi o znacznym rozgłosie, o niewątpliwych zasługach — często także częściowo dla sprawy polskiej — ale o dość wątpliwym w sumie bilansie oceny. Z mieszanych uczuciami czyta się te rzeczy, narzuca się pytanie: gwoli czego o tym przypominać? Taki np. książę Antoni Henryk Radziwiłł! Jego tata „wraz z innymi targowiczaniem przykładał rękę do rozbioru Polski” (s. 102). Do niego zaś samego „uśmiechnął się los” w osobie księżniczki Ludwika Pruskiej, stryjecznej siostry Fryderyka Wilhelma II, z którą się ożenił w 1796 r. Autor ubolewa, że z powodu „intryg kamaryli dworskiej” nie był obecny na ślubie król pruski, nie było też księżnej Radziwiłłowej, która „pojechała do Petersburga, aby zapewnić sobie przychyłność carowej Katarzyny”. I że „szykany nie ustawały również po ślubie”, czego drastycznym dowodem była rewizja w pałacu Radziwiłłów pod niesłusznym (!) zarzutem zamieszania księcia w „jakąś akcję propolską”. „Księstwu Antoniosławowi nie dano jednak satysfakcji w takim zakresie, jak tego żądali” (s. 106). Pomyślmy, że te „krzywdy” wyrządzano biednemu księciu nazajutrz po pogrzebie Rzeczypospolitej, kiedy najlepsi jej synowie przekradali się przez kordony graniczne, by obcych „o miecz prosić jak o jałmużnę”!

---

majątnych studentów” (s. 107), a zwłaszcza utyskiwanie autora na to, że „zakamufLOWANE biuro” pisanie tych prac stosowało wobec naszego utalentowanego rodaka „niemiłosierny wyzysk”. Łza w oku się kręci, gdy czytamy: „Pisanie prac doktorskich i związane z tym zarobki urwały się nagle (...). Wykryto biuro (...) Przybyszewskiemu wyszło nieoczekiwanie i to nikiel źródło dochodów” (s. 192). Z wielu powodów Przybyszewski nie musiał się obawiać postępowania dyscyplinarnego, ale, dalibóg, chwalić się nie ma czym, nawet jeśli o tym pisał w swym pamiętniku *sama* Przybyszewski.

Choć kronikarze pisali o nim, że był to „z rodu, wyglądu i duchowego usposobienia Polak zupełny”, to jednak z relacji autora zdaje się wynikać, że jedynym czynnym tego dowodem były: nieudana z jego strony próba w 1813 r. nakłonienia księcia Józefa Poniatowskiego do porzucenia sztandarów napoleońskich, a potem — już na stanowisku namiestnika W. Księstwa Poznańskiego — próby zjednania dla rządu pruskiego licznych ziemian polskich, tudzież kabotyńskie przebieranie się wraz z żoną za... Piasta i Rzepichę (s. 107). Doprawdy, wolno wątpić, czy postać ta daje powód do dumy tak z punktu widzenia naszych uczuć narodowych, jak i ze względu na nasz wkład do historii Niemiec.

Równouprawienie wymaga obecności kobiet, a dobra anegdota — pięknych pań. Nie dziwny się więc, że również autor „Za zachodnią miedzą” zgromadził ich skromny wianuszek pod znakiem „wkład Polek”. Choć uczynił to w pewnych punktach nieco na siłę. Niewątpliwie ciekawa, mało znana i bardzo sympatyczna jest historia Michaliny Rorer (Trzezińskiej) Hoffmannowej, żony znakomitego niemieckiego pisarza fantastycznego Ernesta T.A. Hoffmanna. Nieco trudniej natomiast da się usprawiedliwić biogram Karoliny z Iwanowskich Sayn-Wittgenstein, polskiej żony rosyjskiego rotmistrza księcia P. Sayn-Wittgensteina, którego zresztą puściła kantem, by zostać „naturalną” (z powodu naturalnych naonczas trudności z rozwodem) żoną Franciszka Liszta. Nazwiska towarzyszy życia naszej bohaterki nie są tutaj — jaki widać — wystarczającym tytułem do przypisywania jej wkładu w życie umysłowe Niemiec. Legitymuje ją do tego natomiast jej pobyt w Weimarze, jej ówczesny salon, jej kontakty i wpływy w niemieckich środowiskach kulturalnych związanych z Lisztem.

Ciekawa też jest opowieść o tym, jak swoją grą i wdziękiem osobistym ujęła sędziwego Goethego... nasza znana pianistka Maria Szymanowska, której ksiądz poetów poświęcił piękny wiersz, a nasz autor ponadto osobną książkę<sup>3</sup>.

Na zasadzie plotki znalazła się w zbiorze historia Anny Orzelskiej, którą autor poufale i niezmiennie „Anusią” nazywa. Nieślubna córka Augusta II Mocnego, dziewczę o dobrym i czułym sercu, a jak z załączonego portretu wynika, wytworna przy tym i nader urodziwa dama, budzi współczucie raczej niż zaciekawienie. Młodzieńcza miłość Fryderyka II, który zostawił jej na pamiątkę pono (plotki, plotki...) nieślubne dziecko, oddane komuś tam na wychowanie, miałyby raczej prawo do tego, by zostawić ją w spokoju po upływie ćwierci tysiąclecia.

Zastanawia natomiast w książce poświęconej „wkładowi Polaków” obszerny esej na cześć niejakej Marianny z Ciecierskich Skórzewskiej. Była ona przyjaciółką Fryderyka Wielkiego, cieszyła się w sposób nader widoczny jego względami tudzież wpływami w jego otoczeniu. Co do charakteru tej przyjaźni, nie ma zgody wśród historyków, podobnie jak i co do syna Skórzewskiej, Fryderyka, którego ojcem chrzestnym (czy tylko?) był sam Fryderyk II. Nie warto chyba tych spraw dociekać. Styl Ludwika XV w polityce na tym polegał, że przyjaciółki króla na równi z jego ministrami wywierały wpływ na bieg wydarzeń historycznych, nie wyłączając odwracania sojuszków. Ale Fryderyk tym się właśnie różnił od swego francuskiego kolegi w koronie, że bardziej niż powiększanie kolekcji sukcesów erotycznych pasjonowało go powiększanie granic państwa pruskiego — sposobami niewybrednymi i dobrze nam znanymi — oraz sukcesy wojskowe i ściśle polityczne, których nie lubił dzielić z najbardziej nawet zaufaną przyjaciółką. „Pani Marianna — pisze znowu poufale autor — oddawała królowi pruskiemu nad wyraz cenne

<sup>3</sup> S. Szenic: *Maria Szymanowska i jej czasy*, Warszawa 1960.

usługi: poprzez nią dowiadywał się o tajnych poczynaniach patriotów polskich” (s. 275), „(...) utrzymywała również dobre stosunki z rosyjskim generałem Rönne, okupującym Wielkopolskę” (s. 276). Natomiast jej wpływ na politykę Fryderyka był — jak się okazuje — nader nikły. Jedynym bodaj jej sukcesem na tym polu było... uzyskanie (w trakcie pierwszego rozbioru Polski) przesunięcia granicy na wschód o tyle, żeby całe jej dobra znalazły się w zaborze pruskim. Tej „szczęśliwej” operacji dokonał na usilną prośbę Skórzewskiej jej przyjaciel, „jeden z głównych wykonawców zaborczej polityki Fryderyka II” v. Brenkenhof, który „otrzymał za to pochwałę od swego króla” (s. 277). On też został zarządcą dóbr małżonków Skórzewskich po ich niedługiej potem śmierci. Trudno oprzeć się refleksji, że wkład p. Skórzewskiej do stosunków polsko-niemieckich wart jest — z moralnego punktu widzenia — wkładu samego Fryderyka (z zastrzeżeniem oczywiście nierównych proporcji).

Fakty są takie, jakie są, i rzeczą rzetelnego historyka jest tak je właśnie przedstawić. Ale nie wszystkie fakty tworzą historię i nie wszystkie zasługują na wspominki. I może nie wszystkie wolno jest roztrząsać. Istnieje pewna sfera życia człowieka, która jest jego prywatną sprawą i nikogo innego nie powinna interesować. Do tego stopnia, że nawet dobrowolne wynurzenia danej osoby przyjmowane są z zażenowaniem. Zachodzi pytanie, czy i jak dalece historia dyspensuje od obowiązku poszanowania intymności. Jeśli w grę wchodzi postać o naprawdę historycznym znaczeniu, to powstaje problem „Marysieńki” Boya. Co się zaś dotyczy osób prywatnych, które tylko w sferze prywatnego życia przewinięły się w kręgu figur historycznych, bez wyraźnego przy tym wpływu na historyczne dokonania tych ostatnich, to rzecz powinna chyba w sferze prywatnej pozostać. W przeciwnym razie wyjdzie na komentowanie intymnego pamiętnika babuni. Poza tym pozostaje problem ocen moralnych, którego nie powinien przesłaniać całkowicie dystans historyczny. Wątpliwy to np. zaszczyt nosić na piersi order imienia sławnego ludobójcy, który w swych wojennych sukcesach pomagał sobie rzezią ludności zdobytych miast, nie wyłączając kobiet i dzieci. Także zdrada jest zdradą, łajdactwo łajdactwem — i faktów tych nie są w stanie nobilitować zachwyty służalców i wielbicieli siły, od których żadna epoka nie jest wolna.

Jeśli historia ma jakąś szansę bronić przydomka *magistra vitae*, to chyba tylko w dziedzinie kształtowania postaw obywatelskich i wartości etycznych. Ale to wymaga jednak nazywania rzeczy mniej więcej po imieniu.

Dalszym wydaniom i kontynuacji ciekawej i pożytecznej publikacji S. Szenica życzyć więc trzeba większej staranności w selekcji materiału. I większego wyczulenia na sprawy moralnych akcentów.